

Polskie legendy

dla dzieci



Polskie legendy dla dzieci



Spisała: Agnieszka Wójtowicz-Zajac

Ilustracje: Zuzanna Smolińska



Drodzy rodzice, drodzy czytelnicy!

Trzymacie w rękach zbiór niezwykle, bogato ilustrowanych polskich legend, napisanych z myślą o dzieciach – zarówno tych, które słuchają opowieści czytanych przez dorosłych, jak i tych, które właśnie zaczynają czytać pierwsze książki samodzielnie. Wśród *Polskie legendy dla dzieci* znajdziecie zarówno legendy związane z początkami państwa polskiego, jak i niesamowite historie z różnych regionów Polski – od wzburzonych fal Bałtyku po tatrzańskie szczyty, opowieści o bazyliuszku, smoku wawelskim czy Duchu Gór.

Legendy to część naszego wspólnego dziedzictwa, które przekazywane z pokolenia na pokolenie budowało naszą tożsamość i pozwalało odkrywać nasze korzenie i historię. To żywe teksty, które mają wiele wersji, często opierających się na fantazji, wyobraźni i kreatywności tego, kto opowiada. *Polskie legendy dla dzieci* starają się zbliżyć do współczesnej wrażliwości, zarazem pozostając wierne najważniejszym elementom każdej z opowieści, aby pokazać najmłodszym odbiorcom różnorodność i bogactwo tradycyjnych polskich opowieści.

Zapraszamy do kontynuowania wspaniałej tradycji i odkrywania najpiękniejszych polskich legend podczas wspólnej lektury!







O Lechu, Czechu i Rusie



Jak to się wszystko zaczęło? Skąd się wzięliśmy w tym miejscu? Kroniki niewiele mówią na temat wydarzeń sprzed wieków, ale w legendach możemy odnaleźć ziarno prawdy. A było to tak...

Dawno, dawno temu w odległej krainie, którą zamieszkiwali Słowianie, rządili trzej bracia – Lech, Czech i Rus. Byli dobrymi i mądrymi władcami, ich kraina rosła w siłę, a ich poddani cieszyli się dostatkiem. Każdy z braci pragnął jednak stworzyć własne państwo, takie, w którym byłby ze swoimi ludźmi jeszcze szczęśliwszy. Ale gdzie szukać takich krain? Każdy z braci inaczej wyobrażał sobie swoje państwo. Nie wiedzieli, w którą stronę się udać, wyruszyć razem czy osobno...? Postanowili zasięgnąć rady najwyższego kapłana, który potrafił czytać tajemne znaki oraz rozmawiać z bogami i duchami przodków. Usłyszawszy pytanie braci, najwyższy kapłan zadumał się, wzniosł oczy ku niebu i udał się pod najstarszy w okolicy dąb, który był poświęcony bogom. Słowianie bowiem szczególną czcią otaczali dęby. Złożył bogom ofiarę z mleka i miodu, zasiadł pod drzewem i czekał, aż bogowie do niego przemówią i odpowiedzą na pytanie Lecha, Czecha i Rusa – gdzie szukać nowych krain. Nad dębem zaczęły się gromadzić ciemne, burzowe chmury – to znak, że w pobliżu był



potężny Perun, bóg grzmotów. W gałęziach dębu kapłan dostrzegł srogie oblicze Welesa, rogatego bóstwa podziemi. W liściach usłyszał łagodny szept Mokosz, Matki Ziemi. Kapłan rozpałił też ognisko, aby przywołać tajemniczego Swaróżyca, boga ognia. Poczuł wokół siebie obecność opiekuńczych Lele i Polele, a także trzech sióstr Rodzanic, panujących nad ludzkim losem. Rozmowa z bogami nie była prostą sprawą – nie chcieli przemawiać do każdego, a do tych, którzy cieszyli się ich łaskami, woleli przemawiać znakami. Trzeba było nie lada wprawy, aby odczytać ich wolę z ruchu liści na drzewie, szmeru gałęzi, trzasku ognia i grzmotu piorunów. Kapłan spędził pod dębem kilka dni, rozmyślając i przyglądając się znakom. W końcu poznał odpowiedź i wrócił do Lecha, Czecha i Rusa. Oto, co im powiedział, gładząc swoją długą, siwą brodę:

– Bogowie pragną, abyście ruszyli ze swoimi ludźmi na poszukiwanie nowych ziem. Każdy z was odnajdzie dla siebie i swojej drużyny nową krainę. Kiedy tylko ją zobaczycie, poczujecie, że to wasz nowy dom. Spostrzeżecie to, co będzie bliskie waszemu sercu. Chociaż musicie się rozłączyć, nie zapominajcie nigdy o braterskiej więzi między wami. Ruszajcie!

Bracia zabrali się do organizacji wyprawy – a było to potężne przedsięwzięcie. Nie podróżowali przecież sami, musieli zabrać ze sobą ludzi, całe rodziny i dobytek. Nie można było też zapomnieć o ofiarach dla bogów, aby zapewnić sobie ich opiekę podczas podróży. W drodze można było napotkać liczne niebezpieczeństwa, przychylność bogów była więc bardzo potrzebna. Dlatego na tydzień przed planowaną wyprawą bracia palili wielkie ogniska, składali ofiary ze zboża, mleka i miodu, oddawali, co mieli najcenniejszego, dla świątyn Peruna, Welesa, Mokosz, Światowida i Trzygława. W końcu byli gotowi do drogi w nieznane.

Na poszukiwania nowej krainy wyruszyła długa kolumna Słowian. Droga była usiana niebezpieczeństwami. W jeziorach i rzekach czaiły się utopee i rusalki, na bagnach podróżnych mogły zwieść mamuny, a w lasach należało unikać spotkania z leszym. I chociaż w dawnych,

bajecznych czasach trakty i drogi nie były tak powszechne jak obecnie, to na co bardziej uczęszczanych szlakach można było natrafić na bandy zbójców. Dlatego przed kolumną jechali bystroocy zwiadowcy na szybkich, zwinnych koniach, sprawdzający, czy na drodze nie czają się rozbójnicy, czy w jeziorach i rzekach nie ma utopców, czy można przejść przez gęste bory i knieje, nie spotykając niedźwiedzia. Zwiadowcy donosili o wszystkim Lechowi, Czechowi i Rusowi, a ci wybierali dalszy kierunek wędrówki. Pochód otwierała przednia straż, do której bracia wybrali najznakomitszych wojów, zaprawionych w walce i gotowych do zmierzenia się z najgroźniejszymi przeciwnikami. Byli uzbrojeni w miecze, okazałe topory i porządne, kute tarcze. Z daleka widać było, że z wojami Lecha, Czecha i Rusa lepiej nie zadzierać. Za strażą ciągnęli ludzie wraz z dobytkiem. Kobiety, dzieci i starcy jechali na wozach, ciągniętych przez woły, które transportowały także zapasy i wszystkie potrzebne do osiedlenia się sprzęty. Mężczyźni poganiali woły, nieśli na plecach worki z ziarnem, którym zamierzali obsiać pola w nowych krainach, pilnowali zwierząt, które maszerowały razem z ludźmi. Pochód zamykała kolejna grupa wojów, którzy byli odpowiedzialni za bezpieczeństwo maszerujących Słowian i pilnowali, aby nikt nie odłączył się od grupy, nie został w tyle i nie padł ofiarą dzikich zwierząt, demonów lub zbójów. Mimo licznych przeciwności i trudów podróży, Słowianie nie poddawali się, ufając, że prowadzący ich bracia znajdą nowe, wspaniałe krainy do zasiedlenia. Pochód był bardzo radośny, wędrowcy czuli, że bogowie im sprzyjają, dlatego też nieustraszenie maszerowali, śpiewając pieśni, pozdrawiając wojów i zwiadowców patrolujących okolicę i rozmawiając o tym, jakie wspaniałości czekają ich w nowych krainach. Bracia wypatrywali zaś znaków, które wskażą im miejsca, w których zakończą wędrówkę.

Podczas jednego z popasów najstarszy z braci, Rus, rozejrzał się dookoła. Objął wzrokiem rozległe, żyzne równiny, niekończące się stepy. Poczuł ukłucie w sercu, ciepły wiatr musnął jego twarz, trawy na stepie zafalowały niczym morze – tak, to był znak od bogów. Wzruszony Rus powiedział zatem do Lecha i Czecha:

– Bracia, bardzo podobają mi się te rozległe, żyzne stepy. Czuję, że to jest dobre miejsce dla mnie i moich ludzi. Tutaj zostaniemy i zbudujemy swoje osady.

Bracia serdecznie się uściskali, przysięgli sobie, że jeszcze się zobaczą i rozstali się w wielkiej przyjaźni – Lech i Czech ruszyli dalej, Rus wraz ze swoimi ludźmi pozostał, aby osiedlić się na stepach. Dwaj bracia skierowali się w stronę zachodzącego słońca, ponieważ Czech bardzo lubił, kiedy ciepłe promienie padały na jego policzki.

Po wielu, wielu dniach wędrówki długa kolumna Słowian zatrzymała się u podnóża gór na dłuższy odpoczynek. Grupa wędrowców była już znacznie mniej liczna, sporo rodzin zostało w krainie wybranej przez Rusa. Dzieci zbierały chrust na ogniska, kobiety w długich, lnianych sukmanach przygotowywały strawę, a mężczyźni oporządzali zwierzęta lub zbierali się grupami, uzbrojeni w łuki i dzidy, aby wyruszyć na polowanie. Chociaż był to czas na odpoczynek od wędrówki, wszyscy byli bardzo zapracowani. Kiedy obozowisko zostało rozbite, a wszyscy najedli się do syta i rozsiedli dookoła ognisk, Czech rozejrzał się po okolicy. Była zupełnie inna niż ta, którą wybrał dla swoich ludzi Rus – górzysta, słoneczna, ale nie mniej żyzna. Czech zapatrzył się na wysokie szczyty, które wyglądały jak rogi Welesa, owiał go ciepły, zachodni wiatr, ogień pod gotującą się strawą zatrzaskał wesoło – tak bogowie dawali znaki drugiemu z braci. Czech poczuł, że to jest właśnie jego miejsce i powiedział do swojego brata, Lecha:

– Bracie, czuję, że znalazłem miejsce dla mnie i moich ludzi. Te słoneczne, żyzne wzgórza będą naszym nowym domem. Zostaniemy tutaj, a ty ruszaj w dalszą drogę.

Bracia pożegnali się, obiecując sobie, że jeszcze się spotkają. Czech i jego ludzie pozostali, aby budować swoje państwo w krainie, która spodobała się ich władcy, a Lech wraz z pozostałymi Słowianami ruszył na północ w poszukiwaniu swojej ziemi.

Znacznie już mniejsza kolumna podróżnych maszerowała przez kolejne dni. Stawali na popas w wielu miejscach, ale w żadnym Lech

nie chciał zostawać na stałe. Co prawda były to piękne ziemie, ale nie widział żadnych znaków, które wskazywałyby na to, że to właśnie jego kraina. Po wielu dniach wędrówki Lech zarządził dłuższy postój. Strudzony długą drogą usiadł pod rozłożystym dębem. Liczył, że przy drzewie poświęconym bogom dostanie jakieś wskazówki. W końcu jego bracia znaleźli już swoje krainy, gdzie więc jest miejsce dla niego? Podobały mu się żyzne pola, idealne pod uprawę, rozciągające się jak okiem sięgnąć, a także stawy pełne ryb i przepastne bory, w których widział wiele zwierzyny. Nagle usłyszał przenikliwy wrzask – spojrział w górę, skąd dochodził krzyk. To wielki biały orzeł, który miał gniazdo na starym, rozłożystym dębie. Ptak rozpostarł skrzydła, wyglądał majestatycznie na tle nieba poczerwieniałego od zachodzącego słońca. Trudno oczekiwać od bogów, posługujących się znakami, wyraźniejszej zachęty. Białe orły były bowiem bardzo rzadkie i jak wszystkie białe zwierzęta były poświęcone bogom. To był znak, na który czekał Lech, więc obwieścił swoim ludziom:

– Spójrzcie w górę, to biały orzeł! Królewski ptak! To musi być znak od bogów. To jest właśnie kraina, w której zamieszkamy. Będziemy żyć dostatnio pośród borów pełnych zwierzyny, pól, które obsiejemy zbożem i w otoczeniu stawów i rzek, pełnych ryb. Naszym symbolem będzie biały orzeł na czerwonym tle, na pamiątkę ptaka, który wskazał nam nasze miejsce. A naszą pierwszą osadę nazwiemy Gniezno, od gniazda naszego ptaka.

Lehici – bo tak mieszkańcy innych krajów początkowo nazywali mieszkańców krainy Lecha – bardzo się ucieszyli, bo im także podobało się miejsce, które wskazał biały orzeł. Osiedlili się nieopodal dębu, na którym było orle gniazdo, a swoją osadę nazwali Gniezdem, tak jak zarządził Lech. Później była to także stolica pierwszego władcy Polski, Mieszka. Ale to już zupełnie inna historia...

